

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 219.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8 półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 5 grudnia 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU.

Ibrahim Strasz (z drzeworytu).—Kronika tygodniowa.—Przegląd polityki zagranicznej.—Korespondencya od redakcyi.—Kościół ewangelicko- augsburgski w Warszawie (z drzeworytu).—Zasług Maryi Ludwiki w Paryżu, d. 5 listopada 1645 roku (z drzeworytu).—Eureka, szkic szczęścia ziemskiego.—Dawne ubiory i uzbrojenia, dalszy ciąg (z drzeworytu).—Szachy.—Rebus.

Ibrahim Strasz,

POLAK RENEGAT, DYPLOMATA XVI WIEKU.

Ze sławnej rodziny Odrowążów, poszli Konieccy i Białaczewscy, którzy dziedziczyli dwie sąsiednie wioski w księstwie sandomierskiem, Końskie i Białaczów. Niewiadomo dla czego potem ta gałąź która na Białaczowie siedziała, otrzymała przydomek Straszów. Pierwszego Strasza wspominają już dzieje za Władysława Jagiełły. Był to charakter niespokojny, bo płał się do intryg wszelkiego rodzaju. Oskarżał w porozumieniu z Witoldem królową Sonkę o tajemne miłości i rozdzierał tęp srodze serce królewskie; potem niewczesnym pytaniem, czy młodemu królewiczowi Władysławowi przystoi obejmować rządy w Polsce, burzył szlachtę, wielkoradców i sejmy. Przeléwał także krew swoją na wojnie z Krzyżakami. Ciekawa to postać i nowa podówczas w Polsce; jest rysów kilka do jej odrysowania. Niesiecki mówi o nim, że pisał się Janem z Kościelnik, ale myśmy go już w źródłach czytali Janem Straszem z Białaczowa.

Dzieje rodziny Straszów w Koronie polskiej Niesieckiego przechowane, dopiero w lat sto przeszło po tym trybunie, ukazują drugiego Strasza, renegata, dyplomata tureckiego. Znalazłoby się ich więcej po przywilejach, bo nie bez tego, żeby i dawniejsi dziejopisarze czegoś o nich nie posłyszeli i nie zanotowali; Paprocki np. powtarza, że „dom Straszów starodawny i znaczny.“ Nie o nich tu przecie idzie, ale o Ibrahima renegata.

Strasz ten „był wzięty w młodych latach i poturczon,“ temi słowy jego dzieje opowiada Paprocki w Herbach rycerstwa. Niesiecki rozwija nieco tę bardzo wątpliwą, jak widzimy, wiadomość, ale więcej domyślem, jak oparty na dowodach. „W młodych bardzo latach, opowiada, od Tatarów w niewolę wzięty i Turkom zaprzędany.“ Niesiecki wsunął tutaj Tatarów, których u Paprockiego niema, ale wsunął trafia, bo w isto-

cie, mógł się Strasz dostać najprzód tylko do niewoli tatarskiej w Polsce, gdy królowie Jagiellonowie żyli z Turcją w pokoju. Kto byli jego rodzice? nikt nie wie, ani Paprocki, ani Niesiecki. Mógł być wzięty chyba na Rusi, bo do województw krakowskiego i sandomierskiego, w których mieszkali Straszowie, zagony tatarskie nie dochodziły. Raz tylko za panowania Aleksandra Jagiellończyka, a za rządów w Koronie kardynała Fryderyka, zagon ten posunął się aż pod Opatów, w r. 1503. Gdybyśmy chociaż datę wie-dzieli porwania małego Strasza, moglibyśmy sądzić przez przybliżenie, kiedy się rodził i w jakiej okolicy.

Abrahama. Paprocki wprawdzie pisze go Ibreimbek, ale tutaj pewno złożyły się dwa wyrazy tureckie na jeden: Ibrahim bej. Młody Polak bowiem, zdolny i pojętny, dostał się do Carogrodu, wszedł do służby sultańskiej i odznaczył się tak, że „był znacznym i wziętym u pogan.“ Miał godność beja. W źródłach naszych mało znajdujemy wiadomości o Strasz, w tureckich więcej, ale przekraczając tam szczególnie jego nazwisko. Hammer w swojej Historii państwa osmańskiego, pisze o nim wszędzie jako o renegacie polskim, der pohlische Renegat, ale gdyby nie ten dodatek, trudnoby domyśleć się Strasza w przekreślonem nazwisku, byłby to prądziej jakiś Włoch, Strozzeni, Strotschenius. Hammer nigdy go inaczej nie nazywa.

Przyzwyczał się Strasz do nowej swojej ojczyzny, ale mimo to dawniej nie zapomniał; dlatego kiedy później wyszedł na dyplomatę tureckiego, zawsze się po staremu przezywał Straszem i chociaż w turbanie, był wszelako szlachcicem polskim. To otworzyło mu względy u króla Zygmunta Starego, a może dopiero u jego syna Zygmunta Augusta.

Był najprzód Strasz tłumaczem u sultana. Z tego byśmy wnosił, że nie dzieckiem wzięto go do niewoli, ale może już dziesięcio, lub jedenastoletnim chłopcem. Dźwięki mowy ojczystej musiał dobrze jeszcze z Polski pamiętać, bo pewno nie uczył się w tureczynie po polsku. Był tłumaczem sultana do pism łacińskich, ale może i polskie przekładał. Nastąpił w urzędzie po Junisbegu i podpisywał się zwykle: Ibrahim bej summus interpres, albo interpres major majestatis suae invictissimae Imperatoris Thurcarum, Pforten Dolmetsch u Hammera (Geschichte des osmanischen Reiches, tom III str. 733.) Był więc urzędnikiem wysokim, tłumaczem wyższym, interpres major, i na tém stanowisku zwracać już począł na siebie uwagę dyplomacy europejskiej. Poprzednik jego Junisbeg brał podarunki od królów, którym wielce chodziło o przyjaźń takiego dostojnika tureckiego. Teraz te względy zwróciły się i na Strasza. I było o co zabiegać, bo renegat polski szczerze i serdecznie służył Turcyi, wrzał cały muzułmańskim fanatyzmem. Perniciosissimus, insidiosissimus et versutissimus hostis, tak się wyraża o Strasz jeden z posłów cesarskich.

(Hammer, tom III str. 790.) Przebiegły, niebezpieczny, zły, wróg chrześcijaństwa, powiada; najwięcej wszelako szkodził Niemcom w Węgrzech, Polska nie ma powodów tak silnie skarżyć się na niego.

Czasy Sulejmana Wielkiego zresztą były w ogóle



IBRAHIM STRASZ, (podług społecznego drzeworytu, zamieszczonego w pamiętniku Daniela Gresera.)

W żadnym razie nie mógł być wzięty w r. 1503, bo czas zaodległy.

Imię chrześcijańskie miał podobno Strasz Joachim, tak go przynajmniej piszą, ale sturczywszy się, przyjął mahometańskie imię Ibrahim, z czego zrobiono

złota epoką dla renegatów, a nieustającą groźbą ze strony Turcyi dla chrześcijaństwa. Potęga turecka ogromnie się rozwijała; posiadała Węgry, obozowała pod Wiedniem. Najzdolniejsi dyplomaci europejscy wzięli się w Carogrodzie, wszystkie prawie państwa płacąc sułtanowi haracz, prócz Polski, która zato najwięcej stosunkowo słała do Turcyi poselstw w owych czasach. Narody słowiańskie ujarzmione przez Portę przywykły do swojej nieszczęśliwej doli, Serbia jeszcze się ludiła nadzieją niepodległości, ale Bośnia i jej rodziny znakomite, Brankowicze, Sokolowicze, Lubowicze, chociaż mówiły po słowiańsku, przeszły do islamu i walczyły przeciw „chrześcijańskiemu bałwochwalstwu.“ Siedmiogrodzianie, Węgrzy, Kroaci, Ormianie, Albanowie, Grecy, Rusini polscy, zdradzali wiarę, przechodzili na renegatów. Największych wodzów i ministrów miał Sulejman i następca jego Selim z ludzi obcych narodowości, przejętych czcią mimowolną dla islamizmu. Z dziesięciu wczorów tego czasu, ośmiu było renegatów. Duszą zaś dyplomacji tureckiej byli w owym czasie tłumacze Porty, także wszyscy renegaci z różnych narodów. Najstraszliwsze niebezpieczeństwo nie w podbojach tureckich, ale w tych nawracaniach się, w tym uroku dla potęgi tureckiej i sławy, groziło Europie. (Hammer tom III str. 613, Pogląd na stosunki Polski z Turcyą str. 55 i 93.)

Polska stosunkowo renegatów najmniej dostarczała Porcie; oprócz sułtani Churremy, ulubienicy Sulejmana, Kierdeja Litwina, mamy tylko jednego Strasza, jako osobę historyczną. Już przed październikiem r. 1551 piastował on swoją wysoką godność tłumacza sułtańskiego, bo z tego czasu są pierwsze jego pisma łacińskie. (Hammer tom III str. 732.) Strasz nie był uczonym znawcą starożytnego języka, łacina jego nie tylko nieosobliwa, ale wcale zła, chropawa, wyrażała tylko rzecz samą jasno, dobitnie, i o to Porcie chodziło, bo nikt nie troszczył się o styl w pismach dyplomatycznych, lub o piękność języka. Zato gorliwości Strasza wierzyli sułtanowie i nie zawodzili się na niej.

Zygmunt August płacił Straszowi sto czerwonych złotych rocznego jurgieltu, żeby pilnował spraw polskich. Miał zaś król niezmiennie wiele i różnorodnych spraw, polskich i węgierskich, gdyż były to czasy straszliwego w dziejach przełomu, wśród których dwór rakuzki napięta się gwałtem panowania w Węgrzech, gdy niepodległości narodu broniła nasza Jagiellonka, Izabela Zapolska, córka Zygmunta Starego. Tylko, rzecz smutna, musiała się królowa w tej walce na Turcyą oglądać. Izabela uznawała sułtana swoim przyjacielem, syna oddawała mu w opiekę, jakby ojcu. Wojna domowa nie ustawała na chwilę, dlatego w Węgrzech, tworzyły się i przeciw Austrii i przeciw sułtanowi koalicje. Strasz nieraz bywał u królowej Izabeli w Węgrzech. Sułtan w r. 1554 porozumiewał się przez niego z Wenecyą i z Polską. Nie mamy wiadomości, czy był wtedy Strasz w Polsce; prędzej nie był, ale w Wenecyi układał się o wspólną wojnę z cesarzem Karolem V. (w październiku i listopadzie, Hammer str. 774.) Jeździł wtenczas z podarunkami. Gdybyśmy mieli pewność, że odwiedził także Polskę, moglibyśmy sądzić, że i jurgielt wypłacany Straszowi z tej pochodzi epoki. Kiedy zaś rzeczywiście nastąpiło to porozumienie się Polski z renegatem, nie wiadomo; to pewna, że Strasz brał ów jurgielt jeszcze przed r. 1554, bo kiedy w trzy lata później wybił się z poselstwem do Turcyi Andrzej Bzicki, kasztelan chełmski, mówiono już na dworze polskim o wypłacie trzyletniej zaległości Straszowi. Oczywiście pobierał jurgielt i dawniej, a przynajmniej od r. 1554. Nie była to rzecz tajna, Strasz przez to nie zdradzał Turcyi, a Polsce służył jak potrafił, i zapewne z wielkim skutkiem, bo znaczenie jego z każdym dniem rosło na dworze sułtana.

Kiedy Bzicki wyprawiał się na poselstwo do Turcyi w r. 1557, jechał z nim Otwinowski, dworzanin Stanisława z Tęczyna wojewody krakowskiego i dobrze się stało, bo piśmienny i zdolny człowiek, opisał nam dzieje poselstwa. W Otwinowskim znajdujemy najdawniejszą u nas wiadomość o Straszu. Pan wojewoda, wyprawiając swojego dworzanina do Carogrodu, dawał mu także pewne zlecenia i „sprawy swe przełożył.“ Trzy były mianowicie sprawy, a najpierwsza z nich, żeby jurgielt „sto czerwonych złotych, który u króla już Straszowi, tłumaczowi cesarza tureckiego za trzy lata zatrzymany, temu to Straszowi odniósł.“ (Podróże i poselstwa polskie do Turcyi, w Bibliotece Polskiej 1860 r. str. 8.) Szukał Bzicki pieniędzy na podróż, pożyczł mu część ich wojewoda, część zaś Dembowski kasztelan bełzki. Otwinowskiego wojewoda aż dwa tygodnie dłużej po wyjeździe pana posła u siebie zatrzymał, dopóki Dembowski nie pośpieszył z pomocą. Potem wyprawił na

podwórze i dał „listy wierzące do Strasza, do Kierdeja i do Mustafy Celebieja, kupca cesarza tureckiego, któremu także był wolność od wszelkich myt zjednał.“ Przy tej więc okoliczności, poznajemy całe grono przyjaciół polskich w Carogrodzie. Obok Strasza był Kierdej, także oczywiście renegat, rodem Litwin i trzeci sturczony także kupiec. Samo jego nazwisko Celebiej nie brzmi po turecku. Jakoż dowiadujemy się później z Otwinowskiego, że był to Jan Baptysta, Włoch z Galaty, kupiec renegat, może zturczony w obyczajach i wierze, ale chrześcijanin z rodu, życzliwy Polsce. Godny jest uwagi i ten szczegół w dziejach dyplomacji polskiej, że Strasz pobierał swój jurgielt nie prosto od króla, z kancelaryi koronnej, ale przez ręce wojewody krakowskiego. W późniejszych czasach kiedy się rozwinęło hetmanstwo, stosunki dyplomatyczne i finansowe z Portą należały do hetmanów, jako strażników na pograniczu całości ziem rzpltej. Ale w owych czasach stosunki te, widzimy, utrzymuje wojewoda krakowski, jeden z senatorów koronnych. Zkądże to? w liczbie posłów, których Polska często wyprawiała do Turcyi z Zygmuntem, był i Stanisław Tęczyński r. 1550 i 1553. Niezawodnie to późniejszy, z czasów poselstwa Bzickiego, wojewoda krakowski. Jeżeli tak, pewno Tęczyński, bawiąc się w Turcyi, zawiązał ze Straszem stosunki, wyznaczył mu jurgielt i zjednał go dla Polski. W taki sposób najłatwiej wytłumaczyć się dało te okoliczności, że nie król, nie kancelarya koronna, ale wojewoda krakowski troszczy się o dotzymanie umowy i że posyła przez swojego dworzanina Straszowi jurgielt zaległy za trzy lata. Zresztą i w Otwinowskim znajdujemy wskazówki, że ten sam Stanisław z Tęczyna, nie inny, posłował do Turcyi. Rozповідаjąc albowiem stosunki swoje z renegatem Celebiejem, Otwinowski mówi: „był też sam Baptysta Włoch, kupiec z Galaty, który był przy panu wojewodzie do Polski wjechał z towarami swemi i wielką mu ludzkość jegomość okazał w dzierżawach swych.“ Widoczna z tego opowiadania, że Tęczyński, wojewoda krakowski był w Turcyi kiedyś, jeszcze nie będąc wojewodą i przywiózł ze sobą do Polski Baptystę w celach patryotycznych, szlachetnych. Poznając się z nim bliżej, wyrobił mu „wolność od wszelkich myt koronnych,“ żeby go do Polski mocniej przywiązać. W kilku miejscach swojej relacji wspomina Otwinowski o tych mytach i przywilejach, jakby o dowodach, że Polska miała prawo liczyć na dobre dla niej usposobienie Baptysty. Rozmaite się zabiegi robiło, aby utrzymać pokój z Turcyą; rzplta była z nią jakby w rozejmie, bo nie prowadzila wojny, a zawierając nie mogła pokoju, jako państwo chrześcijańskie; dlatego żeby dopiąć celu, kupcom dawało się przywileje na myta, dyplomatom płacono jurgielty.

W początkach lipca ruszyło poselstwo z Polski i 24 sierpnia przyjechało do Carogrodu. „Nazajutrz po przywitaniu cesarza, opowiada Otwinowski, oddał Straszowi od króla imci jurgielt, który mu był pan wojewoda krakowski, pan mój, zjednał.“ (Podróże i poselstwa str. 49.) Te ostatnie słowa Otwinowskiego potwierdzałyby nasz domysł, że pierwsze porozumienie się o jurgielt Strasza z Polską, nastąpiło za poselstwa Tęczyńskiego, jeżeli to słowo: *zjednał*, odnosi się do wyrobienia samego jurgieltu, ale nie do starania wojewody o zaległości trzechletnie. Otwinowski oddał Straszowi 300 czerwonych złotych, „aureos;“ wziął z nich tłumacz tylko 200, a trzecie sto „kazał być dać siostrze swęj, Zofii Drohiczańskiej.“ Z tego objaśnienia dowiadujemy się, że Strasz miał w Polsce rodzinę, z którą się znoził, której nawet wiele świadczył. Rodziny Drohiczańskich nie znajdujemy w herbarzu szlachty, są tylko Drohiczyńscy herbu Nałęcz. „Dom Drohiczyńskich, powiada Paprocki, w Rusi, starodawny i znaczny był wieku swego.“ W kasztelan jeden z nich był w czasach Zygmunto-wskich kasztelanem chełmskim, drugi lubaczowskim, obadwaj na Rusi. Drohiczyńscy a Drohiczańscy, nawet Drohiczyńscy niezawodnie jedna i ta sama rodzina. Znał ich dobrze Otwinowski na Rusi. Paweł Drohiczyński dał mu kilkadziesiąt czerwonych złotych na konie do Turrek. Może to był szwagier Strasza? Przypomina się nam tutaj i druga okoliczność. Sławny Orzechowski chciał się żenić z córką Strasza jakiegoś, Zofią po imieniu, panną z dworu Piotra Kmity. Kiedy biskupi przeszkodzili mu do tego małżeństwa, ożenił się z Chełmską. Byłaby to rzecz bardzo zajmująca, gdyby kiedy się wykryło, że panna Zofia Straszówna, narzeczona Orzechowskiego, była siostrą rodzoną renegata, a żoną Pawła Drohiczyńskiego.

Tych związków Ibrahima Strasza z rodziną w Polsce pozostała, ponieważ skazówka jest także podróż innego Strasza, dworzanina królewskiego do Carogrodu w r. 1549—56. Wybił się wtedy do sułtana

w poselstwie od Korony Mikołaj Bogusz, starosta krasnostawski, (Metryka ks. 407 str. 130.) Leonard Strasz pojechał z nim razem za wiedzą królewską. Być może, dowiedziawszy się o bracie, czy bliskim krewnym, potężnym w Carogrodzie, szukał z nim znajomości. Leonard ten był później burgrabią krakowskim, a pod względem religijnym dyssydentem.

Ibrahim Strasz był „bardzo wdzięczny“ i za jurgielt i za list pana wojewody. Nie nastawał na ojczyznę, brał od niej ofiary, nie gniewał się na nią. Nadto bezinteresownie widać w Strasz; siostrze bowiem oddał część trzecią, Otwinowskiemu dał „oduzdnego“ za fitygę, od uzdy, jak się mówiło, dwanaście łokci atlasu karmazynu, jakby przesywanego. Obiecał mu być pomocen i w innych rzeczach, jeśliby sprawować chciał co w Carogrodzie, za poleceniem pana wojewody. Korzystał z tego dobrego usposobienia ziomka Otwinowski i wypatrywszy chwilę, rozpoczął umyślnie ze Straszem rozmowę o tém, co mu wojewoda poruczył. Pokazuje się z tego, że Otwinowski miał swoje tajne instrukcje. Bzicki jechał do sułtana, niżsi zaś członkowie poselstwa z jego sługami, osobami możnymi w Carogrodzie, mieli się umawiać. Prosił wojewoda Strasza przez swojego dworzanina, żeby królowi „oznajmiał rzeczy potrzebne,“ żeby przestrzegał go „gdyby co z której strony rozumiał być niebezpiecznego Koronie.“ Nie chodziło tutaj o żadną zbrodnię stanu, proszono Strasz o prostą życzliwość dla dawnej ojczyzny; chwilowe nieporozumienie mogła usunąć wczas udzielona przestroga. Wszelako bał się Strasz wchodzić w takie porozumienie się z wojewodą i wymawiał się tém Otwinowskiemu, „że z wielką wagą przychodzi mu do Polski pisać, bo go podstrzegają.“ Mimo to nie zrzekał się usługi.

— „Gdyby tu, mówił do Otwinowskiego, jego król, mość miał kogo swego przy mnie, któryby to pisał co ja rozkażę, tedyby król imć mógł często pewne rzeczy wiedzieć, co się i tu i gdzieindziej dzieje.“

I jął namawiać zaraz Otwinowskiego, żeby przy nim został w Carogrodzie, dla tego obowiązku. „Z czegoś się ładnie wymówił, widząc co za niebezpieczeństwo taka posługa za sobą niesie,“ opowiada Otwinowski. Toć w takim razie więcej miłości ojczyzny pokazał Strasz od ostryżnego dworzanina wojewody krakowskiego; jeżeli to z jego strony nie był prosty wybieg chytrności. Strasz podejmował się chętnie spełnienia misji, ale żądał pomocnika, którego nie znalazł w orszaku poselskim. Polska nie namawiała tutaj nikogo do zdrady, z Turcyą była ciągle w pokoju i nie nie zwiastowało wtenczas że ustana kiedyś stosunki dobrego sąsiedztwa. A jednak niebezpieczeństwa odwracać od Polski, nie szkodząc Turcyi, była to gra niebezpieczna u podejrziwego narodu.

Oddał Otwinowski także listy Kierdejowi od wojewody. Ten dyplomata turecki już był na schyłku życia. Bardzo stary, „choćby był rad, nie mógł mi żadnej ludzkości ani posługi wyrządzić.“ Zato serdeczny był bardzo Antoni Baptysta. Prosił Otwinowskiego do domu i częstował w bród w ogrodzie swym na Galacie, dokąd dworzanin nasz udał się z panem Szamotulskim i z kilką towarzyszami, których wziął na ucztę. Kierdej bywał także dawniej w Polsce jak Baptysta, ale Kierdej jeździł z poselstwem w r. 1530, a kupiec z towarami.

(Dokoniczenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Przedewszystkiem, ażeby się raz na zawsze zatławić z kwestyą aptek i lekarstw, umieszczamy tu list jednego z właścicieli aptek warszawskich.

„.... Lekarstwa wszystkie, pisze ów korespondent, eksportują się w aptekach według cen naznaczonych takszą rządową, które to ceny nie są bynajmniej wysokie. Zwykle lekarstwo kosztuje 25 gr., 4złp., półtora złotego najwyżej przecięciowo, rzadkie są bardzo lekarstwa ceny 2ch lub 3ch złotych, a za fenomen są uważane kosztujące złp. 6 lub 8. Zaś 40, 42, 20sto złotych tylko w bujnej imaginacji (dziękujemy za tę pochwałę najpożądniejszą dla piszącego) szanownego kronikarza za zwyczajnecenne są uważane, gdyż w aptekach zdarza się takich 40, 45 najwyżej na 40000 ekspedowanych.“

„Drogi są rzeczywiście niektóre lekarstwa tak nazwane specialia, zagranicą wyrabiane. Lecz ponieważ publiczność nasza więcej się trzyma racjonalnego sposobu leczenia, (o szanowny panie! widać że ci nieznane usposobienie publiczności naszej, albo też zamieszkujeś cyrkul gdzie olej rycynowy stanowcze nad pigułkami Cauvina odniósł zwycięstwo), aniżeli szarlatanizm, za jaki wszystkie lekarstwa specjalne się

uwazają, więc to tylko dotyczy małej części osób leczących się specjalnymi środkami, których zresztą procent zabierają materyaliści trudniący się ich sprowadzaniem.

„Dalej znów korespondent jakiś popiera tę sprawę, mówiąc że na cenę lekarstw dużo wpływa elegancja ich ekspedycjonowanie, t. j. sznurowadła, jedwabne, papierki złote, sygnaturki i t. p.; lecz bardzo się myli, taksy bowiem rządowej oznaczonej na środki lekarskie żadne porządniejsze ich ekspedycjonowanie zmienić nie może. Zmienna zaś cena lekarstwa stalowanego w jednej lub drugiej aptece, jest nieprzypuszczalna, bowiem taksa rządowa wydana na całe królestwo jest jednakowa. W ogólności każde pogwałcenie taksy rządowej może i powinno być prawnie dochodzone.

„Skutkiem postępu nauki, tak silnie dopomagającej farmacji, t. j. chemii, wszystkie niemal środki lekarskie łatwiejszymi i korzystniejszymi dla nas wyrabiane bywają sposobami; to powoduje władzę do częstych zmiany cen, a daje możność publiczności ratowania się teraz tanimi środkami. Ja, pracując lat kilkadziesiąt w tym zawodzie, zauważyłem owszem że cena lekarstw (wyjąwszy niektórych środków, jak stroju bobrowego, piżma, chininy) o połowę niemal spadła, o czem przekonać się można z ksiąg aptecznych.

„Zresztą dobroczynne instytucje, których fundusz pozwala wydawać lekarstwa dla ubogich w swych mieszkaniach się leczących, znacznie ułatwiają klasie biędniejszej sposoby leczenia się; a samym zakładom koszt wypadu na chorego dziennie po 15 groszy, jak o tem przekonać się można ze sprawozdania warszawskiego Towarzystwa dobroczynności.

„W końcu proszę pana redaktora, ażebyś raczył pofatygować się do mojej apteki, a przekonawszy się z ksiąg aptecznych o rzeczywistości powyższych uwag, nie wątpię że nie zaniedbasz odwołać w swęj kronice artykułu o którym mowa, a tym sposobem wyprowadzisz z błędu szanownego jej autora.“

Umieściliśmy tę korespondencję, jako słuszną obronę i wyrażenie zdania specjalnego znawcy, a dodamy jeszcze, że oprócz listu o którym mowa, otrzymaliśmy od osób w żadnym razie o stronnictwie nie podejrzanych, kilka ustnych objaśnień na jedno się zgadzających. Pomimo to jednak zdaje nam się, że albo stan zdrowia nasz i wielu znajomych naszych musiał przez kilka lat upłynionych znacznie się pogorszyć, albo też środki lekarskie używane w aptekach jeżeli nie podrożały, to przynajmniej zmieniono ich zastosowanie i tańsze dawne, nowymi droższymi zastąpiono. Jeżeli kto z czytelników utrzymywał każdorazowo ściślejszy rejestr wydatków domowych i zachował go dotychczas, łatwo sam o tem przekonać się może.

Przytaczano nam, i słusnie poniekąd, że właściciele aptek dawniej robili majątki, że dzisiaj zaledwie im starczy na utrzymanie, a przynajmniej bardzo niewiele z nich znajduje się w świetnym stanie materyalnym. Różnica jednak ta zależy od znacznego podrożenia środków do życia, a przytém i od ogólnego podniesienia stopy życiowej. Dochód może być większy, ale i wydatki jeszcze bardziej pomnożyły się.

Nie wchodźmy zresztą w stronę prywatną życia ludzkiego. Jeżeli objaśnienie szanownego właściciela apteki jest (o czém nie wątpimy) zgodne z prawdą, to cieszymy się że wywoławszy tę kwestyę i zażądawszy sami w kronice od osoby specjalnej objaśnienia, uczyniliśmy w tej mierze zadość żądaniom wielu czytelników, którzy po kilkakrotnie wymagali od nas wzięcia jej pod rozbiór. Jeżeli zaś działy się rzeczywiście jakie, przypadkowe zapewne, pomyłki, że w jednej aptece rachowano drożej za lekarstwo jak w drugiej, to publiczny rozgłos nadany temu faktowi, zdaje się że aż nazbyt dostatecznym będzie dla uniknięcia powtórzenia się jego.

Korzystamy w końcu ze sposobności, żeby wypowiedzieć prawdę tym barbarzyńcom Francuzom, którzy rachunek aptekarski (compte d'apothicaire) zwykłe za zbyt solony uważają i chrzczą jego nazwą każde zanadto przesadzone wymaganie. Ale ktożby wierzył tym złośliwym ludziom, dla których nie ma świętego i którzy ze wszystkiego drwinki stroją? Wszak to pomiędzy nimi urodził się Wolter i Kartusz. Więc nie dziwota że Francuzi dla niczego w świecie nie mają należnego poszanowania.

Konkursa dramatyczne nie śpią. We Lwowie naznaczono konkurs na krotoczwile narodową. Zwycięzca ma otrzymać 1000 zł. reńskich. Piękny grosz. Pytamy się jednak dlaczego krotoczwila? dlaczego nie komedia? Krotoczwile nie leżą w naszym duchu, to wymysł czysto francuski. Tylko Francuzom udają się opery komiczne, w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu, to jest mówione, bez recytatiwów, przeplatane śpiewem i krotoczwile (wodwile), w których takie śpiewki najwięcej znaczą. Rodzaj ten przed kilkun-

stu laty kwitnął w najlepszą, Scribe zrobił na nim sławę i majątek; dziś jednak słabnie i upada, bo nasładowcy Skribego nie umieli się utrzymać na stanowisku przez mistrza zdobytym. Wodwil konkursu lwowskiego ma być w trzech aktach; nie znamy dokładnie zasad konkursowych, nie komunikowano ich bowiem naszym pismom, przypuszczając, i bardzo słuszenie, że literaci tutejsi w obecnych okolicznościach nie będą się ubiegali o palmę wodwilową. W każdym jednak razie zdaje nam się że wodwil w trzech aktach jest trudnym, niepodobnym nawet do wykonania. Trzeba wiedzieć co jest wodwil, w całym znaczeniu tego wyrazu: to drobnotka, to błyskotka, to prawie nic. Ani wyższych celów, ani charakterystyki, ani planu głębiej osnutego. Chwila życia codziennego złapana na uczynku i odbita na deskach teatralnych, ze skarykatyzowanym realizmem. Prawie wszystkie osoby należące do wodwilów są wyobrażeniem wiecznie tychże samych typów; kto zna jeden, zna wszystkie. Cała zasługa tam na zręcznym ułożeniu strofki, które zamykają w sobie cały dowcip sztuki, na wdzięcznej muzyce, najczęściej pozbięraną zład i zowad i na grze aktorów, którzy swoją zasługą podnoszą autora i dają życie jego dziełu. Jest to utwór literacki graniczący z rzemiosłem, jest to rozrywka umysłowa, pozwalająca odetchnąć po poważniejszych zajęciach. A że tak jest, dowodem tego że przy wodwilach dopiero rozpoczęło się to fabryczne, spółkowe tworzenie, które scenie francuskiej nie mało szkody przyniosło. Jeden osnował plan, drugi klepał rozmowy, trzeci rymował piosenki. I ten trzeci musiał być najzdolniejszym, na nim bowiem wszystko polegało, jego praca stanowiła o powodzeniu sztuczki.

Ciekawiliśmy więc wielce tego narodowego wodwila w trzech aktach, który na scenie lwowskiej ma zakwitnąć. Wszystko zależy od zrozumienia. Jeżeli będzie to prawdziwa komedia, do której tylko dodatek mają stanowić śpiewki, nie mamy nic przeciwko temu. Ale w takim razie dlaczego nazywać to wodwilem? Na co te śpiewki, które nie nie dodadzą, a zaszkodzić mogą? Jeżeli zaś ma to być wodwil rzeczywisty, poco go rozkładać na trzy akty? Odpowiedź na te wszystkie zapytania da nam zapewne ogłoszenie dzieła premiowanego, a może i innych, które stanawszy do konkursu, drugie lub trzecie miejsce zajmą z rządu. W każdym razie będzie to żniwo nowości dla sceny lwowskiej, która widać ich potrzebuje.

Tegoroczny chromolitografowany kalendarz pana Dzwonkowskiego wyszedł już z druku i gustownym bardzo zaleca się rysunkiem.

KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Pani J. K. w Mozyrzu. Uczynioną nam propozycyę przyjmujemy z prawdziwą wdzięcznością i prosimy o nadesłanie prób. Wolelibyśmy jednak nie same kościoły, (jakkolwiek i te niezaprzeczenie zajmujący i ważny stanowią materyał) lecz przedmioty żywoźniejsze, jak: malownicze okolice, typy ludowe i t. p.

P. Bolestawowi z Ustronia. Ogłoszenie drukiem nadesłanych poezyj nie byłoby dziś na czasie.

Panu A. W. w Żytomierzu. I ożnańskie Towarzystwo przyjaciół nauk, ogłaszając konkurs na napisanie najlepszego życiorysu Kościuszki, niewątpliwie miało na celu badania samostne, oparte na źródłach nieznanych, lub przynajmniej niedrukowanych; praca przeto Julliena, jakkolwiek nie bez wartości, żądaniom jego odpowiedzieć nie może. Najlepiej zresztą będzie zapytać się o to listownie samego Towarzystwa.

Ks. J. R. K. w Kawnicach. Opis miejscowego kościoła zbyt mało przedstawia interesu historycznego lub artystycznego, abyśmy go w piśmie naszym wydrukować mogli.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

4 grudnia.

Stanowcza odmowa Anglii spadła jak piorun na głowę półrządowego dziennikarstwa francuskiego, które nie zauważało że nad horyzontem londyńskim zbierają się chmurki, mogące z łatwością silną naprowadzić burzę. Wiadomo już czytelnikom naszym, że królowa Wiktoria w liście własnoręcznym pochwaliła zasadę kongresu. Pochwała ta, jak pokazuje się, nie była wyrazem odpowiedzialnego ministerium, które po kilku długich i nader gorących posiedzeniach, ostatecznie odrzuciło ideę kongresu. Wiadomość o tem nie małe w Paryżu uczyniła wrażenie, wrażenie przykre, którego ukryć nie umiano. Constitutionnel wystąpił zaraz z artykułem Limayrac, gwałtownie napadającym na rząd angielski. Dziennik ten twierdził, że polityka angielska wszędzie kieruje się zawiścią, zarzuca jej niewdzięczność dla Francji, egoizm względem wszystkich narodów i w końcu zwala na Anglię całą odpowiedzialność za nieprzyjęcie idei kongresu i pokoju. Rzecz

prosta że artykuł tej treści musiał oddziaływać na roboty giełdowe spekulantów europejskich. Niech się pocieszą. Już Constitutionnel zmienił groźny i niezłomny ton dla swych zakałowych sąsiadów i w cukrowych wyrazach dowodzić zaczyna, że sprawy które miały być rozstrzygane na kongresie, dotyczą najbliższych interesów Anglii i że ta ostatnia nie rozumie chyba swego interesu, skoro uchyla się od tak korzystnych narad. Do oznak uspokajających policzyć też można urzędowe zaprzeczenie Monitora w przedmocie broszury „Cesarz Napoleon III i kongres.“ Dziennik urzędowy oświadcza, że broszura upatrująca dwie tylko ostateczności, kongres lub wojnę, nie jest weale urzędową. Z tem wszystkiem niewiadomo istotnie co dyplomacya francuska odpowiedzieć może na ten śmiały szach ze strony Anglii. Czy starać się będzie zebrać kongres bez Anglii? czy też odstąpi od pierwotnych zamiarów i dozwoli upaść projektowi, który ją tyle mozołom kosztował? Optymiści wiedeńscy mają na to gotową odpowiedź: sprawa kongresu nie jest jeszcze pogrzebaną i kongres zbierze się bez Anglii, pod wpływem zabiegów Austrii i Francji, pod prezydencją króla Belgów. Przytaczając i to optymistyczne zdanie, pośród ogólnej w kongresu niewiary, dopiełniamy tylko obowiązku jaki na nas sumienie kronikarskie wkłada. Rzecz jest pewną i dokonaną, że idea kongresu silnie, jeżeli nie stanowczo, zachwiana została przez gabinet angielski. Izba prawodawcza sprawdza wybory, a posiedzenia jej do najciekawszych parlamentowych stronic policzone być mogą. Wykazanie nadużyć dokonanych przy wyborach, obrony mówców rządowych, odpowiedzi opozycji, wszystko to, mianowicie przemówienie się p. Chaix d'Est Ange z p. Emilem Olivier, godne jest przejrzenia. Mówią że adres senatu odznaczać się będzie treścią arcy-pokojują. Kilka dzienników otrzymało ostrzeżenia za niezgodne z prawem relacje o posiedzeniach ciała prawodawczego.

Kwestya Szezwigu i Holsztynu posuwa się żółwim krokiem. Powiedzieliśmy już w przeszłym tygodniu, że uznanie księcia Augustenburg przez drobne mocarstwa niemieckie żadnego nie ma znaczenia, jeżeli nie będzie poparte przez Austrię i Prusy. Tymczasem o postawie tych mocarstw najrozmaitsze obiegają wieści. Zdaje się wszakże iż oba rządy na serjo porozumiewać się zaczynają w tej mierze, jak to wnieść można ze słów ministra stanu w Berlinie, pana de Bismarck. Na posiedzeniu izby deputowanych w dniu 1 b. m. minister stanu, w czasie rozpraw nad sprawą szlezwiską, rzekł między innemi, że podpisanie protokołu londyńskiego jest godnym pożalowania, ale honor i roztropność nakazują wiernie dotrzymywać traktatów i że gabinet wchodzi w umowy z Austrią, które zapewnią jednoznaczne zachowanie się obu mocarstw w obec traktatu i jego następstw. Anglia stanowczo się oświadczyła przeciw roszczeniom księcia Augustenburgskiego, w nocie przesłanej Bundestagowi i załączonej wszystkim posłom związkowym. Bądź co bądź, sprawa to długa, mozolna i najeżona mnóstwem trudności, przeszkód, zagadkowych praw i pretensyj. Wprawdzie, wnosząc ze słów p. de Bismarck, kwestya sukcesji już zdaje się być załatwioną, a Krystyan IX uznany władcą całej Danii, ale zato kwestya konstytucji księstw niemiecko-duńskich nie mało jeszcze zabierze czasu i trudów, nim zozwiązana zostanie. Niektóre dzienniki wierzą w bardzo bliską egzekucyę, która ma być wykonaną w ten sposób, że najprzód wkroczą Sasi, a za nimi w rezerwie staną Prusy, Austria i posilki hanowerskie. Cała siła egzekucyjna wynosić ma do 40,000.

Ostatnie depesze: Londyn 4 grudnia. Daily News usiłuje zbijać sąd prasy francuskiej w przedmocie odmowy Anglii. Times utrzymuje że obawa złego rozwiązania kwestyi księstw duńskiego - niemieckich usunięta została przez oświadczenia Prus i Austrii.

Karlsruhe 2 grudnia. Wielki książę zagaił dziś otwarcie posiedzeń obojdwóch izb mową tronową, w której wyraźnie się oświadcza za księciem Augustenburgskim. Książę Augustenburg posłał Danii ultimatum i wzywa ją aby w przeciągu dwóch tygodni wycofała swe wojska z księstw, w przeciwnym bowiem razie zmuszonym będzie do użycia środków, celem utrzymania swoich praw następstwa.

Kraków 2 grudnia. Wczoraj wydano wyrok w procesie posła sejmu berlińskiego Władysława Bentkowskiego: na mocy § 66 kodeksu karnego, został skazany na miesiąc ciężkiego więzienia.

Paryż 4 grudnia. W ostatnich dniach zeszłego miesiąca odbyła się pod prezydencją cesarza rada gabinetowa, na której roztrząsano co dalej przedsięwziąć w obec stanowcza odmownej odpowiedzi Anglii. Mówiono że Monitor odezwać się ma wkrótce w tej sprawie.

Kościół Ewangelicko-Augsburgski w Warszawie.

Jak literatura każdego narodu wyjawia duchowe jego przymioty i tajniki myśli które mu przewodniczyły wśród rozwoju wiekowego, tak i budownictwo, pomniki i dzieła sztuki są obrazem przeszłości narodu, są pamiątką i widowym śladem jego usiłowań, jego szlachetnych dążeń lub skażenia. Ludy pierwotne, zdziwiałe, ludynawpół ucywilizowane i leniwego ducha, albo nie mają literatury i dzieł sztuki, albo to co mają, jest słabe, nieudolne, ciężkie i surowe. Nietylko jednak duch czysto ludzki odzworowuje się w piśmiennictwie i pomnikach: w słowie i sztuce objawia się i to, co wyższem jest nad ziemskość, — uczucie religijne. Świadczą o tém pieśni religijne, równie jak świątynie i kościoły różnych wyznań. Co więcej, nietylko duch poganizmu odbił się najwyraźniej w kształtach świątyń prze-różnych bożyszczy, ale i w samem chrześcijaństwie różność wyznań uwidoczniła się w różności form kościołów poświęconych chwale Bożej. Protestantyzm, o ile

krywały niewielkie domki i budy, mieszczące w sobie kramy i handle izraelskie. Zdala od ulicy, w podwórzu, kryjąc się prawie przed okiem ciekawych, wznosił się ów niski, drewniany, ubogi dom modlitwy; lecz z niekształtnej jego kazalnicy, wygłaszał słowa miłości i wiary znakomity kaznodzieja, a wygłaszał tak wymownie, tak gorąco, że niezadługo, bo w r. 1776, zbudowano szkołę, pamiętając że przedewszystkiem należy się dziatki wychowywać Bogu na chwałę i cześć, a ludziom na pożytek.

Słowa Szejdemantla znać błogosławione były, bo gmina, rozbudzona gorliwem opowiadaniem ewangelii, umiłowała drewniany domek, w którym jej zwiastowano słowo życia, i w pierwszych dniach stycznia r. 1777 nabyła całą posiadłość za wielką, jak na owe czasy, sumę, bo za 69,857 złotych. Lecz domek stał się zaciasnym; trzeba było pomyśleć o kościele. Prawa krajowe nie wzbrajały innowiercom budować domów modlitwy, lecz milczały o budowaniu kościołów. Naradzono się więc co czynić, a mile widziany

kamień węgielny, w obec posłów zagranicznych, delegata królewskiego starosty hammersztejskiego, hrabiego Unruh, kasztelana łęczyckiego Lipskiego, Piotra Teppera, obydwóch duchownych ewangelicko-augsburgskich, Ringeltaubego i Cerullego, parafian i niezliczonego tłumu widzów.

W miejscu gdzie leży kamień węgielny, umieszczono płytę miedzianą, z następującym napisem: „D. T. O. M. Stanisław Augusto P. P. imperante, pacata Republica, restituto publica lege libero religionis exercitu, primi in urbe templi publicis sacris Augustanae Confessionis dicati, primus lapis positus anno MDCCLXXVIII. die IV mensis mai, praesentibus etc. etc.“

Robotom wykonywanym przy budowie kościoła, przewodniczył twórca planu *Szymon Bogumił Zugk*, elektorsko-saski nadworny budowniczy, a z wiosną 1778 r. rozpoczęto wznoszenie murów, zastosowawszy ich grubość do zmienionego pierwotnego planu, wedle którego cała sklepiona kopuła miała być mуро-



KOŚCIÓŁ EWANGELICKI W WARSZAWIE. (Rysował z natury Kozarski).

budował nowe przybytki Pańskie, uwypatnił w nich ducha reformy XVI wieku: wszędzie widoczną jest prostota, kształty są poważne, brak zupełny prawie ozdób wszelkich i niemal ewangeliczne ubóstwo.

Warszawa posiada jeden z piękniejszych kościołów ewangelicko-augsburgskich, a z nowoczesnych może najwspanialszy. Zbudowany w kształcie rotundy, z dobnej kopułą, wewnątrz jasny, wszędzie odznaczający się nieposzlakowaną foremnością, kościół ten jest pomnikowym, bo świadczy o powrocie tolerancji, na chwilę zachwianej w Polsce wpływami jezuitów, i o gorliwości 5000 gminy ewangelickiej, która nie wahała się ponieść wielkich ofiar, by wzniesić kościół godny stolicy królestwa. Gmach ten wystawiony został na miejscu, gdzie r. 1767, za ztaraniem poselstwa duńskiego, w dworcu tegoż poselstwa zbudowano niewielki, drewniany dom modlitwy, w którym kaznodzieja poselstwa, Szejdemantel, odprawiał nabożeństwa dla ewangelików warszawskich.

W owym czasie cały plac okalający kościół o-

u króla bankier warszawski *Tepper*, udał się do niego z prośbą o pozwolenie zbudowania w stolicy kościoła ewangelicko-augsburgskiego. Stanisław August, który z Warszawy chciał zrobić Paryż i lubił uchodzić, jak Fryderyk Wielki, za toleranta, udzielił upragnione pozwolenie d. 15 stycznia 1777 r., z warunkiem przedłożenia sobie planów. Z trzech wybrano ten, wedle którego zbudowano obecnie istniejący kościół.

Kosztorys wskazywał że summa potrzebna na zbudowanie kościoła przewyższa siły parafian; lecz wten czas nie obliczano się ze szkatułą, bo dobro publiczne ważyło w sercach chrześcijan więcej jak własna wygoda i potrzeba. Na pierwsze wydatki *Tepper* ofiarował 75,600 złotych polskich; inni poszli za jego przykładem; każdy dawał co mógł, a niejedni i więcej jak mógł.

Dnia 24 kwietnia wyżej wspomnianego roku rozpoczęto budowę, a d. 4 maja 1778 r. położono uroczyste, w miejscu gdzie się obecnie znajduje ołtarz,

waną, obecnie zaś postanowiono, wedle planu i rysunku majstra ciesielskiego *Pittiga*, zbudować ją z drzewa.

Po ukończeniu kopuły i wzniesieniu na nią drągów, w kształcie świątyni o dwunastu filarach i tyluż oknach, ustawiono na samym szczycie, d. 2 lipca 1779 r., krzyż, wysoki łokci 5, obity miedzianą, pozlacaną blachą. Aby się dostać na galerię otaczającą mniejszą kopułę, potrzeba przejść 200 stopni schodowych. Cały zaś kościół, od fundamentu do wierzchołka krzyża, ma wysokości łokci 96.

Główne wejście od ulicy Królewskiej znajduje się pod wspaniałym portykiem o czterech filarach, spoczywających na szerokich kamiennych stopniach, a podpierających dach, pod którym umieszczone są dzwony. Bocznych drzwi jest dwoje w przybudowanych przedsionkach, a z tyłu kościoła, przeciwległe z portykiem, piętrowa zakrystya. Nad głównymi drzwiami umieszczona jest tablica pamiątkowa z czarnego marmuru i apokaliptyczna sztukateria: baranek

leży na pniu ofiarnym, obok księga z siedmią pieczęciami; z jednej strony widać tablicę Zakonu, z drugiej kadzielnicę i kielich, a wszystko otoczone jest promieniami.

Roku 1784 budowa kościoła została ukończoną i pokazało się, że summa ogólna kosztów wyniosła 515,299 złp. Dnia 30 grudnia nastąpiło poświęcenie kościoła, pod wezwaniem Trójcy św., w obec posłów zagranicznych, delegatów królewskich, starszych gminy ewangelicko-augsburskiej i parafian. Po stosownej modlitwie i odśpiewaniu ułożonej na tę uroczystość kantaty, poświęcenia dopełnili pastory Rینگeltaube, znany autor dzieła o bibliach polskich i Cerulli. Pierwszy miał kazanie przed południem, drugi po południu.

Wnętrze kościoła zastosowane jest przedewszystkiem do potrzeb gminy. Ponieważ szło o pomieszczenie jaknajwięcej słuchaczy, oprócz ławek na dole i nisz w oknach, biegną naokoło ścian trzy galerie. Pierwsza galeria, czyli raczej chór, spoczywa na 10 filarach. Nad tym chórem wznosi się drugi, także zbudowany na 10 filarach, a na nim umieszczone są organy, dzieło znakomitego organmistrza wrocławskie-

Obecnie, od dwóch lat, dokonywa się wielka restauracja kościoła, której koszt, z powodu potrzeby położenia zupełnie nowego dachu miedzianego, ma wynieść przeszło 200,000 złp. Jest to nakład ogromny, zwłaszcza dla parafii która liczy 10,000 głów i musi bez żadnej zapomogi utrzymywać szpital, dom starców i sierot, trzy szkoły, ochronkę i dwa cmentarze. Lecz i tu młode pokolenie szlacheckie współzawodniczy z pradiadami swymi, i mimo ciężkich czasów, składki dobrowolne wpływają. Przy odnawianiu wnętrza kościoła, warto iżby komitet zajmujący się restauracją pomyślał, czyby ambona i organy nie dały się pomieścić gdzieś indziej.

Kończąc ten pobieżny opis warszawskiego kościoła ewangelickiego, dodamy, że z którejkolwiek strony zbliża się kto do Warszawy, krzyż kościoła ewangelickiego pierwszy pokazuje się na widokregu; z galerii zaś otaczającej górną kopułę, zwłaszcza w lecie, Warszawa wraz z okolicami mile przedstawia się oku patrzącego.

Miał Władysław pięcioletniego syna Zygmunta Kazimierza, ale dziecinie tej nie rokowano długiego wieku. Król, nazwyczajony do rodzinnego w ciągłym pokoju życia, sam się skłonny okazał do zawarcia nowych związków i pierwszy zwrócił oczy na młodą, dziewiętnastoletnią królową szwedzką, Krystynę.

Łatwo mógł przewidywać niepowodzenie, jednak przez posła francuzkiego popierał swój zamiar, który spełził niegłośną odmową, bo jawnemi też nie były oświadczenia; wyrozumiano tylko posła szwedzkiego w Warszawie, hrabiego Aleksego Sparre, który okazał wyraźną niechęć mówienia o tym przedmiocie.

Stronnictwo austriackie usilnie podmawiało króla, aby znowu pojął małżonkę z domu rakuzkiego, ale Władysław stanowczo odmówił.

Kardynał Mazarini, pierwszy minister francuzki, zaczął staranie, aby króla nakłonić do poślubienia Maryi-Ludwiki, jedynej córki Karola Gonzagi księcia mantuańskiego we Włoszech, a newernieńskiego we Francji, słynnej wdziękami, wykształceniem i znacznym posagiem.

Przekupiony od Mazariniego Włoch *Ronkaliusz*, kanonik warmiński, który był Jerzemu Ossolińskiemu



Zawarcie kontraktu ślubnego między Władysławem IV królem polskim, a Maryą Ludwiką księżniczką mantuańską, d. 29 września 1645 r. (Podług współczesnej ryciny A. Bosségo, znajdującej się w zbiorze p. Aleksandra Przeździeckiego).

go Müllera, odbudowane i przerobione przez niego r. 1848. Nad organami jest jeszcze trzecia, wązka galeria.

Wspaniale wnętrze kościoła, mogące pomieścić 4 do 5000 osób, przedstawia się w formie amfiteatralnej, a ołtarz, ambona i organy, umieszczone są na jednej linii, naprzeciw drzwi wchodowych. Ołtarz zdobi obraz olejny, pędzla *Bogumila Schiffnera* Sasa, wyobrażający Chrystusa Pana w Ogrójcu, wraz z uczniami. Na ołtarzu wznosi się wielki krzyż, a przy każdym nabożeństwie spoczywa także na ołtarzu ozdoba biblia, dar Fryderyka Wilhelma IV króla pruskiego, ofiarowany na pamiątkę jego pobytu w tymże kościele.

Ołtarz okala podniesienie, wyłożone piękną posadzką i nader gustowną brązową galerią. Sam ołtarz zdobi podest, wyrobiony z drzewa i kunsztownie inkrustowany, oraz dwa kłęczniki z galeriami brązowymi, wykonanymi wedle rysunku znakomitego rzeźbiarza warszawskiego Fryczego. Tegoż artysty dziełem jest wykonana z drzewa piękna chrzcielnica, umieszczona przed ołtarzem. Tak posadzka, jak galerie ołtarzowe i chrzcielnica, wykonane zostały w ostatnich dwudziestu latach, jedynie z darów osób dobroczynnych.

ZASŁUBINY MARYI LUDWIKI

W PARYŻU,

dnia 5 listopada 1645 r.

Niespodzianie, w trzydziestym trzecim roku życia, zmarła Cecylia Renata, małżonka króla Władysława IV, dnia 24 marca 1644 r. w Wilnie.

Rzewnymi łzami oblał król tak bolesną dla serca swego stratę, bo jakkolwiek nie jaśniała urodą, ale charakterem łagodnym, słodkim, uległym zjednała sobie Władysława miłość i przywiązanie.

Do tego łączył król i wysoki dla małżonki swój szacunek, gdyż była to jedyna z księżniczek domu rakuzkiego na tronie polskim, która się do rządów rzplitej nie mieszała wcale, czém serca Polaków dla siebie zniewoliła.

Jakkolwiek żał Władysława po utracie żony był wielki i grubiej żałoby nie zrzucał, gdy jednak nieco się uspokoił, poczęto przemyślać na dworze nad nowymi małżeńskimi związkami, w obawie aby potomstwa Wazów na tron nie zbrakło.

w czasie głośnego jego poselstwa do Rzymu przydany za sekretarza, przechwalał królowi cudne wdzięki słynnej dawniej księżniczki.

Marya Ludwika była w wieku zmarłej królowej Cecylii Renaty, bo urodziła się w jednym z nią roku 1611; kończyła więc wtedy trzydziesty czwarty rok życia.

Gdy miała lat siedm wieku, utraciła matkę i poruczoną została opiece i troskliwosci swej ciotki, pani *Longueville*.

Związki jej ojca z dworem, niemniej i stosunki ciotki-opiekunki mieszkającej ciągle w Paryżu, zbliżyły wcześniej Maryą Ludwikę do najznakomitszych towarzyszy. To przyspieszyło rozwój wrodzonych zdolności, témbardziej że młoda księżniczka chciwie się oddawała naukom. Nadobna przytém, pełna powabu, podziw i uwielbienie na całym dworze wzbudzała.

Kiedy jej ojciec wchodził w posiadanie księstwa mantuańskiego, brat Ludwika XIII, książę Orleanu, ujęty wdziękami Maryi Ludwiki, zaczął starania o jej rękę; lecz intrygi rodziny Guizów, a więc i dynastyczna zazdrość królowej, zniweczyła zamiar, popieranego przez opiekunkę młodej księżniczki i Kondeuszów.

Na rozkaz królowej zawieziono Maryą Ludwikę wraz z jej ciotką do zamku Vincennes, który służył wtedy za polityczne więzienie.

Opinia publiczna nie pochwalała surowego postępowania królowej matki, lecz ta, przeczuwając w zamierzonym związku księżniczki z bratem królewskim intrygę Ryszeliego na niekorzyść linii panującej, uważała się w obowiązku strzeżenia praw swych dzieci.

Wkrótce jednak dwór francuzki poczęł troskliwie zajmować się jej losem. Już w r. 1635 czynił usilne zabiegi, ażeby skłonić Władysława IV do poślubienia Maryi Ludwiki; ale wtedy stronnicy austriacy przemogli.

We dwa lata (r. 1637) utraciła ojca; okrytą żałobą, Ludwik XIII oddał w samodzielny zarząd księstwo newerneńskie. Odtąd zamieszkiwała naprzemiennie w Paryżu i w Newernie.

Wielki koniuszy królewski *Cinq-Mars* uległ powabom pięknej księżniczki i rozpoczął zaloty, które zdawała się wdzięcznie przyjmować.

Ufny we względy Ludwika XIII, gardząc wyniosłą dumą samowładnego wówczas Ryszeliego, wziął czynny udział w spisku, mającym na celu ustanowienie regencji podczas małoletności Ludwika XIV, przeciw tyranii kardynała.

Ryszelie łatwo rozbił tę burzę grożącą jego władzy: *Cinq-Mars* zginął na rusztowaniu, a papiery Maryi Ludwiki z polecenia kardynała zabrano i przejrano.

Wypadek ten smutny silnie na księżniczkę oddział. Usunęła się od dworu, a w samotnym życiu poświęciła wszystkie chwile boleści i modlitwie. Zawiedziona w nadziejach i marzeniach tak ulubionych sercu, zapłonęła żądzą wpływu i znaczenia.

Po śmierci Ryszeliego, objął jego władzę kardynał Mazarini, który, dla osłabienia wpływu dynastii Habsburgów, dawny zamiar dworu francuzkiego co do skojarzenia małżeństwa Maryi Ludwiki z Władysławem IV usilnie popierał.

Nieobca tym zabiegom, Marya Ludwika dokładała ze swjej strony starań aby przyspieszyć ten związek. Kanonik Ronkalsz, mając przyręczoną sowitą nagrodę, otrzymał jej miniaturę, którą królowi Władysławowi złożył.

Monarcha, ujęty jej wdziękami i skłoniony namową posła francuzkiego *de Bregy* przy dworze polskim, którego popierało liczne stronnictwo, wysłał zaufanego swego Gerarda Denhofa wojewodę pomorskiego, jako posła nadzwyczajnego, dla skojarzenia tego małżeństwa i zawarcia umowy przedślubnej o posag, który z wyprawą do 700,000 talarów wynosił.

Marya Ludwika gorąco pragnęła korony polskiej, o której przed dziesięciu laty pierwszy raz zamarzyła, nie zważając na lata narzeczonego, który liczył pięćdziesiąty pierwszy rok życia. Gdy jej w Paryżu pokazywano portret Władysława, a ktoś z przytomnych zrobił uwagę żartobliwą co do otyłości i zbyt grubej szyi przysługując jej męża, księżniczka odrzekła, że ja takie drobnostki wcale nie obchodzą, dodając: „Wystarczy mi, gdy wiem że głowę jego zdobi korona znakomitego królestwa i słynnego rycerstwem narodu.“

Denhof przybył do Paryża i umowa zawartą została i podpisana w d. 26 września 1645 r. w *Fontainebleau*, (1) a za powrotem jego do Warszawy król wyznaczył nowe poselstwo do dworu francuzkiego, złożone z dwóch poważnych senatorów: Wacława Leszczyńskiego, biskupa warmińskiego i Krzysztofa Opalińskiego, wojewody poznańskiego.

Poselstwo rozdzieliło się na dwie części: część większą i świetniejszą udała się ładem z senatorami, dwór zaś biskupi wsiadł na okręty w porcie gdańskim i przybił do Lubeki. W dalszej drodze, miotani burzą, opóźnili swe przybycie i nie wszyscy się do Paryża zebraли. Orszak poselski, liczny i okazały, za zbliżeniem się pod Paryż, robił przygotowania na wjazd do stolicy Francji.

Miejsce spoczynku przedstawiało jakby obraz taboru rycerskiego: mnóstwo koni, zbroi, pojazdów i wozów dziwiło zebraną gawiedź miejscową. Do było bogate szaty i rzędy, wyczyszczono broń i ułożono porządek wjazdu do Paryża.

Dzień 29 października 1645 r. przeznaczonym był na wjazd posłów polskich.

Otwierał wspaniały pochód rotmistrz pieszy *Chłapowski*, chorągwi wojewody poznańskiego Opalińskiego. Przybrany był w żupan atlasowy żółty, szkarłatną ferezją podbitą sobolami; czapka złotogłowa sobola, a pióra białe żorawie, spięte zaponą rubinową. W rękę trzymał buzdygan złocisty; przy boku miał

szablę turkusami wysadzaną, a pod lewą nogą koncerz, również bogaty. Siedział na dzielonym arabskiej krwi rumaku. Cały rzed był przepysny. Siodło i czaprak haftowane złotem w kwiaty, strzemiona srebrne, szerokie, podpiersień takież jak munsztuk i ubranie głowy konia.

Za nim szło trzydziestu piechoty, dobranych żołnierzy, w żupanach sukiennych czerwonych, w katanach, zarzucone mając na barkach delie tejże barwy, u każdej po ośm dużych srebrnych guzów. Na głowach magierki z piórami. Na lewem ramieniu nieśli muszkiet, a w prawej ręce siekiérki. Wszyscy z podgoloniemi głowami po polsku. Poprzedzało ich czterech dziesiętników w takiejże barwie, z proporcami żółtymi i czarnymi, z sześciu *szyposzami*, czyli kapelą wygrywającą na piszczałkach.

Choiński koniuszy i rotmistrz karabinierów wojewody poznańskiego, wiodł 29 karabinierów w barwie czerwonej, na dobranych koniach. Sam na dzielnym turczyźnie, w atlasowym ceglaznym żupanie, ferezy aksamitnej zielonej i w czapce takiegoż koloru, którą zdobiło sześć piór żorawich białych, z zaponą kamieniami drogiemi sadzoną. Szabla przy boku bogata i takież koncerz.

Starszy pokojowy tegoż wojewody, *Trzeciński*, również z przepychem strojny, wiodł 24 dworzan pokojowych, w żupanach atlasowych żółtych, w ferezyach aksamitnych czerwonych, podbitych atlasem żółtym, z potrzebami złotymi. Wszyscy jechali na dobrych koniach.

Za nim jechał *Gowarszewski*, koniuszy księcia biskupa warmińskiego Leszczyńskiego, na arabskim koniu, w żupanie atlasowym białym, w ferezy aksamitnej karmazynowej, podszytej złotogłowie, trzymając w rękę czekan złocisty. Prowadził za sobą 46 pokojowych biskupa, w żupanach atlasowych popielatych, w ferezyach i czapkach aksamitnych zielonych, z białymi żorawiami piórami. Siedzieli na dobranych koniach i podobnie mieli sajdaki. Sześciu trębaczów wojewody i biskupa, jedni w żupanach atlasowych żółtych, a w kontuszach i czapkach karmazynowych, drudzy w żupanach atlasowych białych, w kontuszach sukiennych zielonych, z haftowanymi złotem i srebrem herbami panów swoich, otrębiując jechało na strojnych koniach.

Koniuszy wojewody *Byliński* również z przepychem był ubrany; przed nim dwóch masztalerzy prowadziło przedniego rumaka białej maści, czystej krwi arabskiej. Był to wierzchowiec Opalińskiego wojewody. Siodło na nim całe złotem okryte, suto turkusami wysadzone, czaprak haftowany złotem, nadgłówek, podpiersień, jako i wodza, z łańcuchów złotych. Rumak, nieokręśloną wartości i ceny, na głowie miał kitę kosztowną, podkuty srebrnymi podkowami. Przy siodle zawieszony koncerz, gęsto wysadzany rubinami i turkusami. Dzielność tego konia w każdym się ruchu objawiała, w zbieraniu zgrabnym nogami, w wygięciu barku, kształtnej głowie, w odsadzie ogona, pełnych ognia oczach i rzeźkim parskaniu. Wywoływał on podziw Francuzów, bo podobnego rumaka nie miała królewska stajnia.

Teraz następował orszak panów francuzkich i z poselstwa polskiego, oraz gwardye książąt orleańskiego, Kondeusza i innych.

Za nimi jechał *Jan Gniński*, w ferezy sobolowej, na koniu tureckim, pod bogatym rzedem. Rumak miał na głowie kitę z zaponą dyamentową; szabla i koncerz kamieniami sadzone. Zachwycał on licznych widzów, nie tak przepychem ubioru, jak rumakiem swoim, który w pewnych przerwach padał na kolana, schylając głowę aż do samej ziemi.

Ukazali się wreszcie posłowie sami: książę biskup warmiński w fiołkowym tubinie i w kapeluszu, obwiązany bindą dyamentową. Po prawej stronie jechał konno wojewoda poznański, na koniu arabskim. Broń jego, strzemiona, rzed cały był okryty dyamentami, rubinami i turkusami; czaprak złotem w kwiaty haftowany. Wierzchowiec podkuty podkowami złotymi, z których jedną umyślnie na ulicy zgubił.

Za nimi orszak duchownych polskich i panów, między tymi książę Radziwiłł i Zamojski, syn wielkiego Jana, szlachty, z dworzanami króla francuzkiego zmieszany, szereg bogatych karet posłów naszych i panów im towarzyszących. Wiedziono czterdzieści koni tureckich należących do poselstwa, z tych kilka miało podkowy złote, a 23 srebrne. Zamykał pochód szereg licznych wozów, z rzeczami posłów i ich orszaku.

Do późnej nocy przeciągał się wjazd ten wspaniały, któremu tłumy Paryżan z podziwem i uwielbieniem się przypatrywały. Poselstwo polskie w pałacu *de Vendôme* zajęło przeznaczone sobie mieszkanie.

W dniu naznaczonym na posłuchanie przybyli posłowie do galeryi pałacu królewskiego. Dokoła marmurowe stopnie zajmowało mnóstwo dworzan, a po-

nizej damy dworu. W środku galeryi rozestano kobierce wielki turecki, nad którym wzniesiono baldachin aksamitny fioletowy, złotymi liliami narzucany. Pod nim król młody i królowa matka stanęli, mając po prawej stronie książąt orleańskiego, Kondeusza, d'Enghien, dwóch ostatnich małżonki, księżnę Carignan z córką i księżną d'Angoulême; po lewej ręce stały córki księcia Orleanu i księżna de Longueville z córką swoją.

Nastąpiło przyjęcie posłów. Mowę miał biskup warmiński po łacinie, a wojewoda Opaliński złożył list od króla. Rozmawiali z nimi królestwo, a tłumaczem był *Przyjemski* sekretarz ambasady.

Po powitaniu i pozdrowieniu złożonym przez panów polskich składających orszak poselski, pożegnali królestwo.

Wieczorem wyjechali do pałacu *de Nevers*, dla złożenia holdu księżniczce Maryi Ludwice.

Otoczona gronem dam i dworzan, przyjęła posłów we drzwiach sali. Biskup warmiński przemówił do niej i złożył jej list królewski i krzyżek o sześciu wielkich dyamentach, szacowany na sto tysięcy talarów. Jeden z biskupów francuzkich odpowiedział po łacinie, w imieniu księżniczki.

Miano z początku myśl obchodzenia uroczystości wesela księżniczki; ale dla względów dworskich postanowiono obrzęd zaślubin prywatnie odprawić.

Przybywszy do królowej matki, księżniczka podjękowała jej za wszystkie łaski, a ta włożyła jej koronę z dyamentów i pereł, wielkiej ceny. Obracając się potem do kardynała *Mazariniego*, który głównie pomógł jej do tego małżeństwa, rzekła do niego.

— Chciałam się wam pokazać, czy w tej koronie, którąście mi włożyli na skronie, dobrze mi jest do twarzy.

Królowa, strojna w duże perły, w czarnej mantylce, wielką galeryą powiodła ją do kaplicy. Mały był tu tylko orszak: młody król, królowa matka, mały brat królewski i książę orleański, który dawniej holdy swe składał księżniczce Maryi Ludwice.

Biskup warmiński odprawił mszę świętą, wojewoda zaś Opaliński, imieniem króla Władysława IV, a pana swego, zaślubił księżniczkę. Po mszy włożono jej koronę na głowę.

Po skończonym obrzędzie, królowa poprowadziła teraz już nie księżniczkę, ale królową polską na obiad, dając jej prawą rękę.

Suty był bankiet królewski; stół zastawiono z całym wykwintem francuzkim i gustem; przy wetach niemal całą mitologią w cukrach przedstawiono. Królowa polska zajmowała pierwsze przy stole miejsce.

Odprowadzona do pałacu *de Nevers*, powitaną została przez dwór cały z zapalem.

Opat *de la Rivière*, poufny księcia Orleanu, winszując Maryi Ludwice, rzekł z cicha, że lepijby było dla niej, gdyby z tytułem *Madame*, to jest żony księcia Orleanu, pozostała we Francji.

— Pan twój, odpowiedziała dumnie nowa królowa, przeznaczonym jest być bratem królewskim (*Monsieur*), ja zaś, żebym była królową; poprzestaję więc na losie swoim.

Opuściła Paryż nazawsze w d. 27 listopada 1645 r., w towarzystwie poselstwa polskiego, swego dworu i nadzwyczajnej posłowej do Polski, pani de Guébriant, małżonki sławnego wojownika francuzkiego.

K. Wł. Wł.

EUREKA,

SZKIC SZCZĘŚCIA ZIEMSKIEGO.

skrólony przez A. W. Lasotę.

I.

Zosia.

Zosia była to piętnastoletnia dziewczeczka, wdzięczna jak rozkwitający fiołek, świeża jak powiew wiosennego poranka, nadobna jak motylek różnobarwną szatą odziana. Śniadawa cera jej owalnej twarzy puszyła się pyłkiem dziewczęcości i odbijała przecudnie od czarnych, bujnych zwojów, które ją z rozrzuconością przystroiła przyroda.

Oczy czarne, jak dwie gwiazdeczki iskrzące, osłaniały czarne, powłoczyste rzęsy; na licach żywy rumieniec kwitnął barwą rozkwitającego pączka róży... I jakże Kazio nie miał pokochać Zosi?

Giętka jej kibić chwiała się jak kłos bujny, poruszany lekkim wiatru powiewem; drobniuchne nóżki zaledwie zdawały się dotykać ziemi; śnieżyste ząbki ukazywały się powabnie z pomiędzy ust karminowych, około których dwa dołeczki dziwnym uderzały wdziękiem, kiedy je uśmiech rozjaśniał; czoło gładkie, jasne, niezbyt wysokie, nos szczupły, lekko za-

(1) Drzeworyt załączony przedstawia właśnie tę chwilę, gdy na uroczystym posłuchaniu królowa matka, wraz z małoletnim synem Ludwikiem XIV i córką młodszą, przyjmuje posła polskiego w gronie świetnego dworu i rozkazuje odczytać kontrakt ślubny.

darty; wszystko to tworzyło jakąś cudną, niezmierną, niezmierną harmonię... I jakże Kazio nie miał pokochać Zosi?

Zosia była sierotą, sierotą, bo matki nie miała i nie zapamiętała nawet jej pieszczot, sierotą, bo ojciec, rychło zapomniawszy o swej ukochanej towarzysze, zaślubił inną. Zosia miała macochę. Kobieta ta załotnością, a może i parterowym dworkiem murywanym, zwabiła ojca Zosi i osnuła go jak pajak muchę w swe sidła. Czy on ją kochał czy nie, trudno powiedzieć, tym więcej że pan Kasper, zajęty urzędem, nie wiedział może iż jest miłość na świecie; ale żona panowała w domu i mężem tak samowładnie rządziła, że lękał się ukochane dziecko uściskać, złożyć pocałunek na jej czole.

A była to kobieta prędką, gwałtowną, gorączkową, jak ukrop, jak ogień, jak wulkan. Gdy ją szalał napadł, a była sam na sam z biedną sierotą, to biła ją nieraz i drapała, a dziewczę nie próbowało nawet oporu; całą jej bronią były łzy... łzy rzewne, gorące, długie, skrzętnie chowane przed światem... I jakże Kazio nie miał pokochać Zosi?

Zosia, zwykle smętna i bojaźliwa, czasami miała przecieć chwile szczęśliwsze: kiedy w wazoniku rozkwitnął ulubiony kwiatek, kiedy wpatrzyła się w prześliczny błękit wiosennego nieba, kiedy ją ojciec gdzieś na ustroniu pogłaskał lub pocałował w głowę, kiedy dostała nową sukienkę, wtedy niewinna wesołość ogarniała całą jej istotę, chichotała się do kwiatka, śpiewała piosenki niebiosom, klaskała w ręce oglądając wzorzysty perkalik sukienki i była najszczęśliwszą na świecie. Ale dość było jednego marsowego spojrzenia macochy, żeby rozproszyc te złote promyki uciechy niewinnej i powlec chmurką zaspiania śliczne czoło dziewczynki, by wydobyć głębokie westchnienie z lekko wznoszącej się piersi... I jakże Kazio nie miał pokochać Zosi?

Zosia miała serce litujące się nad cierpieniem najmniejszej płaszynki. Nieraz skromnym śniadaniem dzieliła się z ubogim, nieraz zapłakała, nie mogąc mu nic udzielić i widząc jak macocha drzwi przed nędzarzem z ofuknięciem zamyka. Sama cierpiąc, czuła dotkliwie cierpienia drugich. Jeżeli czasem pani Salomea była w lepszym humorze i pogłaskała biedne dziewczę, to nie posiadała się z radości i o wyrządzonych sobie zapominała krzywdach. Zosia więc miała serce dobre, litościwe... ale jakimś kiedyś stać się ono mogło, tego wam nie przepowiem, bo któż przewidywać zdola, jakie serce kryje się w piersiach prawniczki Ewy?

Dość że Kazio to serduszek gorąco ukochał.

Znacie więc Zosię dokładnie, teraz powiem wam kilka słów o Kaziu.

II.

Kazio.

Kazio był to dwudziesto czteroletni akademik, uczeń czwartego kursu wydziału lekarskiego. Zazdrośny, a nieżyczliwy los pchnął go przeciwko chęci w labirynt osteologii, myologii, fizjologii i tylu innych logij, do których nie czuł najmniejszych sympatyj.

Syn niezbyt dziś zamożnych rodziców, wychował się za szczęśliwych czasów, kiedy jeszcze mieli się bardzo dobrze. Najmniejszemu żądaniu kapryśnego dziecka stawiało się wówczas zadosyć. Ojciec jednak przed kilku laty majątek stracił, skutkiem nieszczęsnych wypadków. Spustoszone w jednym dniu wioski zajęli dłuźnicy, proces był kosztowny, po sprzedaży na publicznym przetargu i spłaceniu długów mało co się zostało, a dziś rodzice żyli z resztek świetnej niegdyś fortuny.

W tym właśnie czasie Kazio złożył egzamen dojrzałości, złożył go dość późno, bo ojciec nie naglił syna do nauk, nie przewidując żeby kiedyś żyć z nich potrzebował. Kazio uczył się od niechęci, jak wszyscy prawie przyszli posiadacze dóbr, gdy wtém nagle zaskoczyła go bieda.

— Synu mój, rzekł ojciec młodzianowi oddającemu mu patent, minęły dla nas dni pomyślne i podobno nigdy nie wrócą, trzeba pomyśleć o obraniu sobie jakiego zawodu.

Zaskoczony nieprzewidywaniem Kazio, nie mógł nawet pojąć z początku czego ojciec żąda od niego.

— Szczątki majątku jakie mi pozostały, mówił dalej ojciec, podzieliłem na dwie części. Jedną nietkniętą pozostawiam na przypadek mej śmierci, dla uratowania od głodu matki twej i siostry, tę oddałem na procent składany; druga posłuży do wzięcia w dzierżawę małego folwarku o kilkudziesięciu morgach gruntu; z tego będziemy starali się żyć. Ty myśl o sobie,

— A i cóż ja mam robić? ojciec, zapytał naiwnie Kazio.

— Masz lat siedemnaście i patent z ukończonych szkół; trzeba sobie obrać jakiś zawód.

— Ja myślę, ojciec, zostać poetą... W szkołach wierszyki moje zyskały pochwałę kolegów; to zawód szczytny i wiodący do chwaly. Za ostatnią nawet satyrę na profesora języka niemieckiego siedziałem ośm godzin w kowie, więc oczywiście przyznano mi że mam zdolność i...

— Dość tych bredni, zawołał cierpko ojciec, poezja nikomu jeść nieda, a często do szpitala prowadzi; trzeba sobie obrać zawód praktyczny.

Ojciec, mówiąc między nami, miał najzupełniejszą słusność; w owych błogosławionych czasach nikt marzyć nie mógł, aby mu literatura choćby suchego kawałek chleba przyniosła.

Pamiętam to dobrze, i każdy z mych rówieśników pamięta, jak s. p. Stanisław Gieszkowski, księgarz i drukarz krakowski, z nienasładowaną wspaniałomyślnością ogłosił w gazecie rządowej, że rękopisma przyjmować, a w razie udatności drukować będzie, nie żądając nawet od autora pieniędzy na druk i papier. Było to prawdziwe eldorado dla ludzi mających pretensję do maczania pióra w kalamarzu, radosć nie do opisania! bachanale! saturnalia!

Niedziw więc że ojciec odepchnął ze wstrętem myśl zawodu literackiego dla Kazia. Kazio czuł się niezmiernie pokrzywdzonym; nie prawie nie umiając, mniemał że kilka dość udatnych wierszyków, które koleży tak wysoko ocenili, daje mu patent na poetę pierwszego rzędu. Trzeba jednak powiedzieć na jego pochwałę, że myśląc o zawodzie literackim, nie zamarzył nawet o jakichś z niego zyskach. Chciał pracować dla narodu, wieść go nowymi ścieżkami, po których albo jeszcze nie stapał, lub stapać zapomniąc; być mu gwiazdą betleemską, a zdobyć sobie rozgłosne imię.

Ale ojciec jednym słowem zdmuchnął te pałace z kart i Kazio w kilka dni potem znalazł się w lektoryum filozoficznem.

Nauka szła mu z początku oporem, bo gruntownej nie miała wpoprzedniem kształceniu się podpory. Ale prelekcje rozżarzyły w duszy młodziana olbrzymią chęć nabywania światła. Pracował po całych dniach, nie dosypiał nocy i chociaż dwa lata siedział na pierwszym kursie uniwersyteckim, lecz zato później szło mu jak z płatka i dziś widzimy go kończącego czwarty rok medycyny.

Kazio byłto szatyn, średniego wzrostu, nie powabny, ale kształtny i męskich rysów twarzy. Na wysokim czole często gościła zaduma, głęboko utkwione oko gorzało ogniem szlachetnego zapału; szczupły a żywy, młodszym z pozoru się wydawał niż był w istocie.

Kazio miał serce gorące, pochopte do uczuć szlachetnych; nie już zbrodnia, ale najmniejsza niesprawiedliwość oburzała go do żywego. Dla kolegów był przychylny, ale zwykle skryty, zazdrośnie chowający myśl w piersi przed ciekawym i natrętnym okiem; jeżeli przecie ktoś umiał rozerwać chwilowo tę zasłonę i dobrać klucza do nastroju ducha młodziana, wtedy bezwiednie prawie wywnętrzał się, a serce jego wówczas leżało odkryte i jawne, jak to które wielokroć dobywał z piersi trupa na stole prosektoryum.

Kochał namiętnie przyrodę, błękit niebios, białe chmurki po nim błądzące, blask krwawy błyskawicy, szalony huk burzy, wyniosłe góry, nagie skały, czarne lasy, spienione strumienie, i ptaszki, i kwiaty, i księżyc na nowiu, i piękną poezią, i harmonią muzyki i malarstwa.

Ale zbytek ten miłości rozsadał pierś biednego medyka, nigdzie nie znajdując oddźwięku. Gonił, ścigał marzenia, które wciąż rozpływały się w nieoznaczone kształty. Czuł potrzebę gorącej miłości. Kochał rodziców, siostrę, kolegów, bliznich, lud cały, a wszystko to nie wystarczało bezdnu serca. Nakoniec na ścieżce żywota Kazimira zabłysnęła postać niebiańska Zosi; świeża i niewinna jej twarzyczka, ułożenie pełne skromności i wdzięku, blask czarowny oka, siroćtwo, cierpienia, wszystko to ugodziło w duszę poety-medyka. W miesiąc po jej poznaniu, przyciskając rękami gwałtownie bijące serce, zawołał ze łzami zachwyty: *Eureka!*

III

Nocna przygoda.

Być może że ktoś z czytających ciekawym będzie wiedzieć, w jaki sposób zbliżył los tych dwoje młodych ludzi ku sobie,

Owóz jednego z ciemnych wieczorów wiosennych, w parę godzin po zjściu słońca, a na parę godzin przed wnijsiem księżyca, Kazio siedział na ławeczce w ciemnej alei plantacyi, wieniec obejmujących Kraków. Wzrok miał zatopiony w gwiazdzistym niebie, a myśl jego, zbłąkana w niedościgłe szlaki drogi mlecznej, porównywała niedolę istot rozumnych kul ziemską zamieszkujących, ich codzienne zabiegi drobnostkowe, ich namiętności, nienawiści, zbrodnie, z ogromem przestworu światów, i zadawał sobie pytanie, czy na wszystkich tych gwiazdach ludzie są tak słabi, tak niedołężni, tak nieszczęśliwi.

Nagle obili się o uszy jego głosy jakieś. Zwrócił oko w kierunku alei i ujrzał wśród zmroku o dziesięć kroków od siebie troje ludzi. Dwóch mężczyzn zastępowało drogę kobięcie, a jeden mówił:

— Tylko jednego całuska, a puścimy cię spokojnie, śliczne dziecię.

— O mój Boże! mój Boże! zawołało dziewczę przynikającym głosem.

Kazio jednym susem już był przy nich.

— Co to znaczy, panowie? krzyknął gromko, proszę puścić tę panią!

— A to co za Holofernes? zawołał jeden z napastników. Ruszaj swoją drogą.

— Nie mamy do ciebie żadnego interesu, dodał drugi.

— Ale ja mam do was, krzyknął rozjuszony Kazio, i porwawszy za kołnierz jednego z nich, tak silnie popchnął, że potoczył się w piasek.

Drugi umknął.

Tymczasem dziewczę stało na środku alei nieruchome.

— Pani, rzekł uprzejmie Kazio, hamując wzruszenie miotającego nim gniewu, chciałem iść naprzód o parę kroków przedemną, gdyż nie śmiem ci podać ręki; ja będę szedł opodal i strzedz cię od nowiej opryszków salonowych napaści.

Dziewczę skłoniło się uprzejmie, a Kaziowi przy słabym blasku gwiazd zarysował się niewyraźny kształt pięknej twarzyczki. Była to Zosia. Jak trwożliwa sarneczka, zaledwie nóżkami dotykając ziemi, szła a raczej biegła prawie naprzód, nie oglądając się za siebie; biegła tak prędko, że Kazio zaledwie jej drobnymi krokami nastarczał. Po trzech lub czterech minutach opuściła aleję, zwróciła się w boczny ścieżkę, przebiegła gościniec przedzielający plantację od domów przedmiejskich i po kilku schodkach dostała się na taras parterowego dworku białego. Stanąwszy we drzwiach, zwróciła się ku swemu obrońcy, a wyszeptawszy jakieś niezrozumiałe słówko, znikła w sieni.

Kazio przez kilka chwil stał zadumany przed schodkami. Patrzył azali we drzwiach nie ujrzy wracającej, czy głosu jej raz jeszcze nie usłyszy. Nakoniec, po krótkim wahaniu się, jednym skokiem był już na górze. Przez szpary okieniec błyszczało światło. Kazio przytknął oko i nic nie ujrzał, bo biała firanka zakrywała wnętrze mieszkania przed wzrokiem ciekawego. Przytknął ucho i usłyszał chropawy głos niewieści:

— Dobrze ci tak, bardzo dobrze, trzeba się spieszyć kiedy cię gdzie poszle, próżniaku, leniwcel!

— Ja się śpieszyłam, mam, ależ, to tak daleko.

— Kłamiesz! szłaś powoli, noga za nogą, ja wiem jak ty chodzisz; dobrzeby cię było po śmierć posłać. A po chwili dodała: Uważam, moja panno, że od niejakegoś czasu zaczyna ci się roić po głowie żeś już dorosła dama, że jesteś bardzo piękna. Ja ci te myśli wybije z głowy, ja ciebie nauczę.

— Ale dajże jej pokój, odezwał się głos męski; owszem zdaje mi się że bardzo prędko wróciła.

— Czy i ty na mnie! zakrzyknęła kobieta ze złością. Ujmuj się za swoją córeczką, ujmuj za tą pieszczotką, za tym leniwcem. Żeby tak które z moich dzieci było harde, leniwe i krnąbrne, tobys je ubił na miejscu, złośniku. O nieszczęśliwa ja kobieta, pocóż poszłam za wdowcą? zawiązałam sobie świat, podeptałam szczęście, wszyscy mną pomiatają. Przyniosłam ci w posagu dworek, z którego ciągniesz 500 złp. na rok, a czy mnie szanujesz? Co ja powiem, to wszystko złe. Ale nie ciesz się zawczasu, czegośobie tajemnie życzyś, to będziesz miał. Ja tego nie przeżyję i albo umrę na suchoty, bo mi się to z pewnością należy, a nie, to uwiążę sobie kamień u szyi i wskoczę do Wisły gdzie najgłębsza woda.

I zaczęła płakać na cały głos ze złości.

— A to prawdziwe piekło w tym domu, zawołał głos męski i w tej chwili huknęły drzwi zatrząśnięte.

Kazio, lękając się aby go na niezaszczytną czynności podsluchiwanie nie schwytano, zeskokczył ze schodków i za chwilę już siedział na ławce w alei.

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak)



Nr. 97.

Wiek XVI. Pielgrzymi w drodze, w kapeluszach i płaszczach podróżnych, oba z koszturami pątniczymi w rękach. (Rysunek wzięty ze Zwierciadła Reja.) (D. c. n.)

Przygoda dziwnie go zajęła. Dziewczę było piękne, bo słyszał to z ust rozjątrzonej niewiasty; było skromne, bo nie zdobyło się nawet na tyle odwagi, żeby podziękować swemu obrońcy; było sierotą, bo niesprawiedliwie wymówki macochy o tym go przekonywały; było nieszczęśliwe, gdyż scena której był świadkiem aż nadto o tym przekonywała. Jednym słowem owa dziewczeczka, której nawet twarzy prawie nie widział, głosu dobrze nie słyszał, zajęła go nadzwyczajnie.

Długo, długo siedział pod kasztanem, a myśl jego ciągle krążyła w zaklętym kółku; ani wschód księżyca, ani spadające z drzewa gałązki, ani chłód nocy nie zdołał wyrwać Kazia z głębokiej zadumy. Wciąż wpatrywał się w czarną okienicę, poza którą dawno światło zagasło, i dopiero zégar ratusza, przeciągłym i smętnym jękiem wybijając północ, ostrzegł go, że blisko cztery godziny czasu zbiegły mu niepostrzeżenie.

Kazio, wróciwszy do swego mieszkania, długo jeszcze przechadzał się wzruszony po pokoju, a gdy wreszcie usnął, cała wczorajsza przygoda, w tysiącnych zmianach, aż do ocknięcia sny jego zapełniła.

IV.

Poznanie.

Dziwnie nazajutrz odbyła się wizyta kliniczna.

— Professor stał nad łóżem choréj na zapalenie płuc, którą powierzył Kaziowi, i z zajęciem wpatrywał się w ucznia gdy ją auskultował.

— Jakże pan znalazłes płuco prawe? zapytał Kazia.

— Dobrze, odrzekł machinalnie Kazio.

— Jakto dobrze? czy nie słyszysz odgłosów tępych? zapytał professor. Całe płuco zajęte, wyraźnie zajęte.

— Tak, odrzekł Kazio.

— Każ pan choréj westchnąć... i cóż?...

— Westchnęła...

— Czy słyszałeś pan co?

— Nic nie słyszałem.

— Pan N... dziś jest sam chorym, rzekł ze znaczeniem professor. Dosyć... chorą niech bada pan L.

Kazio odstąpił, a miejsce jego zajął kolega z piątego kursu. Wszczęła się żwawa dysputa, czy należy choréj krwi upuścić, czy też leczyć bez użycia tego środka; ale jakkolwiek rozprawa była interesująca, przecież Kazio jednego nie schwylił słowa.

Po ukończonej wizycie, professor, który lubił go

jako jednego z najpilniejszych i najpojętniejszych uczniów, zbliżył się do Kazia i rzekł:

— Kochany panie Kaźmirzu, jakoś jesteś nie swój, musisz być słaby; uwalniam cię na dziś i jutro od dyżuru, a wracaj mi zdrow zupełnie. Trzeba ci chorego na egzamen: właśnie dostaniemy bardzo skomplikowaną zimnicę, połączoną z zastarzałym obrzmieniem śledziony i niezłym żółdkiem długotrwałym, będziesz miał wyborny egzemplarz. Żegnam.

Kazio skłonił się, ścisnął serdecznie podaną dłoń profesora, stokroć wdzięczniejszy za uwolnienie od dyżuru, jak za przyrządzonego pacjenta, i wybiegł z gmachu klinicznego.

Nieznosnie długą zdawała mu się droga którą biegł ku przedmieściu, chociaż i ośmiu minut na odbycie jej nie potrzebował. Za chwilę już stał przed wczorajszym domkiem i spoglądał w okno. Później odszedł kilkadziesiąt kroków w bok i puścił się wzdłuż domów, w nadziei że może kogoś zobaczy.

Właśnie gdy dochodził do bramy, nagle dał się słyszeć przeraźliwy jęk rozpacz i kobietatrydziesto-kilkoletnia w nieładzie wybiegła z załamanemi rękoma na ulicę, wołając: ratujcie! ratujcie!

— Co się stało? zapytał Kazio, zatrzymując biegnącą.

— Puść mnie pan, puść! muszę biec po doktora. — Może ja choć chwilową pomoc przyniosę, jestem uczniem medycyny.

— Ach panie, ratuj! na miłość Boską śpiesz się! Dzieci mi się potruły!

Kazio wbiegł do pokoju i ujrzał dwóch chłopczyków 5 i 6cio letnich, których gwałtowne szarpały wymioty.

— Co one zjadły? zapytał Kazio.

— Galki, pigułki na szczury.

Kazio obejrzał jedną, a z przypadłości poznał, że to prawdopodobnie arszenik; rzucił pigułkę na węgle, a woń czosnkowa rozeszła się dokoła.

— Bądź pani spokojna, w pięć minut wrócę z lekarstwem. Tymczasem podawaj pani mleko.

I wybiegł.

Za chwilę Kazio wrócił, a wodan żelaza i inne stosownie użyte środki powstrzymały cierpienie i zaczęły bardzo dobrze działać. Kazio kazał dzieci ułożyć

na łóżku i sam pilnował, sam podawał leki. W dwie godziny niebezpieczeństwo minęło i dzieci usnęły.

Teraz dopiero Kazio obejrzał się gdzie jest. Przypomniał sobie, że jest w dworku przed którym wczoraj połowę nocy przedumał, spojrzął na okno i poznał zazdrosną firankę; był więc w mieszkaniu młodej nieznajomej. Na tę myśl krew mu uderzyła do głowy i całą twarz okryła purpurą. Gorliwość lekarska i bojaźń o życie dzieci nie dała mu wprzód dostrzedz tych szczegółów.

Przed Kaziem stała macocha.

— Jak pan konsyliarz sądzi, czy nie pomrą moje drogie aniolki?

— Bądź pani zupełnie spokojna. Ręczę słowem uczciwego człowieka, że powrócą do zdrowia.

Wtém drzwi skrzypnęły, a w otworze ich ukazała się Zosia.

Kazio oniemiał na tyle wdzięków: rzeczywistość o wiele przewyższała marzenie.

Zosia, ujrawszy obcego mężczyznę, który ją pozerzał oczyma, spłonęła jak karmazyn.

— I cóż? zapytała niecierpliwie macocha.

— W tej chwili doktor wrócił do domu i zaraz tu będzie.

Wtém otworzyły się drzwi i wszedł doktor W., człowiek średniego wieku, wzięty bardzo w mieście, uprzejmy, miły i zawołany lekarz.

Po obejrzeniu dzieci i rozmówieniu się z Kaziem, doktor rozśmiał się wesole, wziął panią Salomeę za rękę i rzekł:

— Podziękuj pani temu panu, jemu jesteś winna ocalenie swych dzieci, on je uratował od śmierci. Gdyby nie traf szczęśliwy co go tu przywiódł, jużby nie żyły. Coś rozpoczął, młody kolego, to dokończ. Zazdroszczę ci, bo mię podczas kursów takie szczęście nie spotkało. Żegnam panią. Bądź zdrow panie N.

I wyszedł.

A pani Salomea nie wiedziała jak podziękować Kaziowi; łzami oblewała jego ręce, płakała i śmiała się naprzemian, wreszcie rzekła do Zosi:

— Podziękuj Zosiu panu konsyliarzowi, on ci braciśzków uratował od śmierci. No prędzej, nie wstydź się! Ach jakaż ona zabawna!

A Zosia nieśmiało zbliżyła się ku Kaziowi, ujęła go za rękę, chciała coś mówić, ale w miejscu słów, dwie przejryste perelki stoczyły się po jagodach dziewczęcica. — I jakże Kazio nie miał pokochać Zosi?...

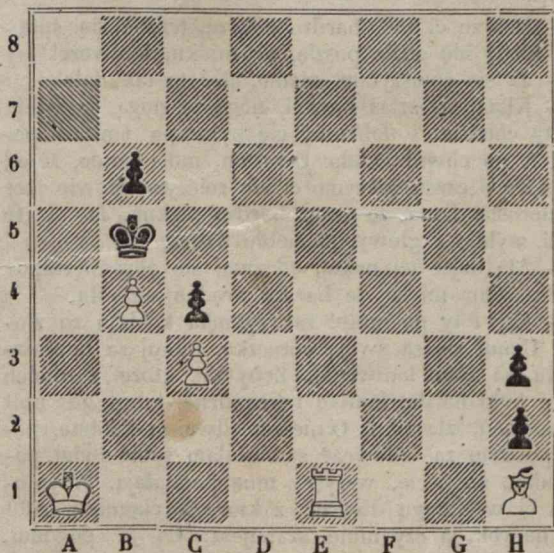
(Dalszy ciąg nastąpi).

SZACHY.

ZADANIE CLXXXII.

Białe zaczynają i dają matę za szóstym posunięciem.

Czarne.



Białe.

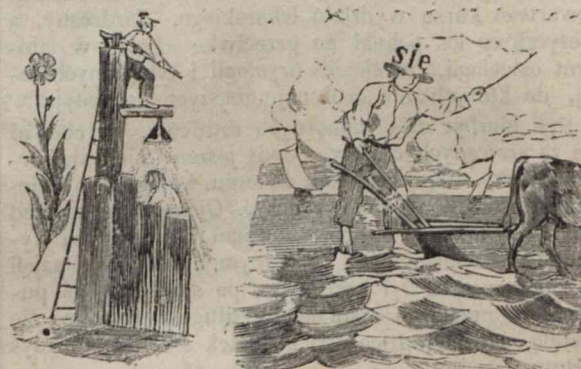
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 181.

Białe.

Czarne.

- 1) G 4—G 7 biorą + odkryty 1) E 8—D 7.
- 2) E 4—D 6 + 2) F 7—D 6 biorą.
- 3) B 5—D 6 biorą + 3) C 8—C 7.
- 4) E 7—E 8 (koń) + i mat.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 218.

Przed kilkoma laty stołowe nogi trzymały klucz miśtyki, teraz mądrość ich równa się zeru.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem cenzury.

Redakcja przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu PP. Wizytek Nr. 391.